

Banda międzynarodowych handlarzy narkotyków

denuncjuje się przed policją

Paryż, w czerwcu. Policja całego świata od szeregu lat prowadzi w tajemnicy ciężkie zadanie pościgu za handlarzami narkotyków.

Sukces osiągnięty w tej chwili przybrał rozmiary istotnie olbrzymie. Pochwycono jednego z naczelników szefów bandy, Teodora Liona. Poprzednio zatrzymano jego współpracownika Voyatzisa w Aleksandrii, Baclę w Zurichu Jondosco w Nowym Jorku i Blaua w Wiedniu. Punktem kulminacyjnym jest pochwylenie Liona w Paryżu.

PAMIETNIK GOTLIEBA

Teodor Lion czuł się niemal do ostatniej chwili na pewnych no-

gach, kryty przez wpływowe osobistości francuskie. Nie przewidywał jednak, skąd może przyjść niebezpieczeństwo.

Oto w jednej z cel Sing Singu, więzienia amerykańskiego, zmarł nagle Gotlieb, żyd polski, znaturalizowany w Holandii. Gotlieb miał to złe przyzwyczajenie, że przechowywał papiery i pamiętniki.

Z tych to pamiętek po Gotlieb wyszły na jaw cenne dla policji wszystkich krajów świata wiadomości: nazwiska szefów światowej bandy, brzmienie przeważnie z żydowską.

Pierwszy, który wpadł w ręce władzy śledczej, to — Jondosco Jerry. Policja, która przybyła do

jego mieszkania w poszukiwaniu bomb, podejrzewając go o udział w jednym zamachu, znalazła na miejscu zamiast bomb, 600 kg. opiumu.

ŚREDNIOWIECZNA FORTECA

Lion przechowywał swoje bezcenne skarby w safesach i kasach ogniotrwałych, rozsiadanych po całym kraju. Główną siedzibą operacyjną, skąd szedł tajny handel i tajne rozkazy, był zamek Liona w Gressy, przypominający z wyglądu średniowieczną fortecę, do którego wchodziło się tylko po wymianie umówionych haseł. Głównymi obiektami handlu był opium i heroina.

Poza zamkiem Lion posiadał inne składy, a nawet własne fabryki heroiny i morfiny. Jedną z nich znajdowała się na granicy greckiej. Z chwilą gdy policja wpadła na jej trop, cały towar już był przetransportowany na terytorium jugosłowiańskie, a stamtąd poszedł na inne kraje.

ŻONA I SEKRETARKA
Stawiony przed sądem śledczym, Lion zapiera się wszystkiego, twierdząc, że oskarżenie jest aktem zemsty ze strony swągry. Obronę, prowadzoną w ten sposób, popierały dwie najbliższe osoby Teodora Liona, jego żona i sekretarka, m-lle Thomas, które w tym jednym wypadku występują solidarnie.

KŁÓTNIE I DENUNCJACJE

Śledztwo ułatwiają w tej chwili kłótnie między członkami bandy. Kłótnie te są następstwem nierównego podziału zysków, jakie Lion miał ustalać, oczywiście

kierując największe zyski na swoją stronę. Tak więc w pierwszym rzędzie mszczą się bracia Helopoulos, z którymi razem Lion przeprowadzał wielki import heroiny 200 kg, wartości 25.000 funtów szterlingów. Od tej chwili „pokrzywdzeni” wypowiedzieli mu zażartą walkę. Denuncjacje następują jedna po drugiej.

Benitto i Wieniawa

Po pas stojąc w zbożu prawie, pokazuje Wieniawie osuszone błota Benitto: — „Cóż Pan... Ambasadorze? Proszę! Dziś chłop tu już orze!”

— „Niby to i ładna robota, i wielka sprawa...” odparł na to Wieniawa. — „Ja też w osuszeniu robię i bardzo cenię sobie Pana, Il Duce, choć Pan widzę, błota płucze!”

Zresztą... mój Boże! Każdy służy krajowi jak może. Niech no Pan się tylko zgodzi i mój projekt przyjmie żwawo, (ręczę, że to nie zaszkodzi, a wszak ręczę mam już prawo),

spędzimy pod gazem, kilka dni razem, i... lepiej znacznie, osuszać Pan zacznie z wódką antały, niż kopać kanały...”

MAN.

Skandaliczny „rezerwat” w Warszawie

Żydzi u siebie, czyli żydzi na plaży

Ktokolwiek będzie w pogodny dzień po praskiej stronie Warszawy, z tramwaju wysiadłszy niechaj pominie skierować swe kroki na wybrzeże Wisły w bezpośrednim sąsiedztwie mostu Kierbedzia i stacji wąskotorowej kolejki „Warszawa—Most”.

REZERWAT

Na piaszczysto trawiastym brzegu, w bezwystydnych pozach i skandalicznych kostiumach kąpielowych porzkładali się chyba wszyscy żydzi warszawscy, tworząc zwarte kępy bawosko nieestetycznych ciał prągnących się pod ciepłymi promieniami słońca.

Od małych dzieci, albo chorobliwie rozrzuconych w tłuszczy, albo suchotniczo wychudzonych — aż do brodatych i pejsatych żydów i niechlujnie rozgrzebanych w brudnej bieliznie żydów — wszystko to rozsiadło się, rozłożyło na zaśmięconym wybrzeżu, brudnej w tym miejscu jak ich ciała, Wisły.

Żydzi stworzyli tu rezerwat z niezrozumiałych względów tolerowany przez władze, na oczach, licząc uczęszczającej mostem Kierbedzia i kolejkowej stacji — publiczności.

OBCA RASA

Ktokolwiek nie ma jeszcze wła-

ściwego pojęcia o obcości tej rasy niechaj zmusi się aby, chociaż przez chwilę, przypatrzeć im się tam właśnie, kiedy są najzupełniej swobodni — u siebie.

Wrzaskliwe rozmowy, nerwowe nieopanowane gesty, niechlujnie porzucane części garderoby wśród brudnych, przetłuszczonych papierów od żywności. To właściwe środowisko, jakie tam sobie utworzyli i jakie im odpowiada.

UJ, ŻYMNO!

Odważniejsi zamiast jak większość z tego rezerwatu grzebać się w nadbrzeżnym, płytkim błocie — zapuszczają się na „pełną” Wisłę, gdzie woda sięga powyżej kolan.

— Uj, żytno! — wykrzykują dzikarsko bohaterowie obficie rozpryskując wodę, usiłując pływając wytrętanym chybą w łóżku „erandem”.

— Moniek, ty uważaj. Ty nie idź za daleko! — biegają za nim troskliwe okrzyki.

FLIRTY

Wysportowana młodzież zabawia się też po swojemu.

Podrastające żydziki, poobejmowały wópt przedwcześnie dojrzale żydówki i rżąc wrzaskliwym śmiechem, opowiadają sobie szmconce-sy.

To jeszcze łagodniejsza forma flirtu, który za porozkładanymi łodziami rybackimi objawia się w mocniejszej i bardziej bezpośredniej formie, tolerowanej u tej rasy przez starszych.

Słońce, nagie ciała, nerwowe śmiechy, rozróżnie zachowanie — to obcy ludzie, obca rasa.

Policji prawie nie ma. I nie dziwnego, policjant przecież też jest człowiekiem o właściwym poczuciu estetyki, smaku, dobrych form zachowania i kultury.

Zjawia się na kilka chwil i ucieka nie mogąc znieść takiego widoku.

W tramwajach winno się na moście Kierbedzia zasłaniać okna. Stację kolejki i bulwar należy odgrodzić wysokim murem.

...albo zlikwidować ten skandaliczny rezerwat.

(s. 1.)

Plastowie — z pochodzenia Germanie

Rewelacje niemieckiej encyklopedii

Przypadkowo dostała mi się do ręki popularna niemiecka encyklopedia. (Knauds Lexikon, Berlin 1936). Z ciekawości poczytałem przeglądając wiadomości o Polsce. Przede wszystkim dowiedziałem się, że Kopernik i Wit Stwos, to Niemcy (str. 771 i 1632).

To jednak jeszcze nic, bowiem okazuje się, według tej encyklopedii, że i Plastowie są z pochodzenia Niemcy (str. 1214 w geom. Mosprung). Warszawa została założona przez Niemców, a zwycięstwo pod Grunwaldem Polacy uzyskali tylko dzięki zdradzie (1687, Tannenberg, „durch Verrat über den Deutsch”).

Z jednej z tablic okazuje się, że granica polsko — niemiecka w r. 1000 biegła od ujścia Odry do ujścia Warty, następnie wzdłuż Wisły i granic Śląska Opolskiego do Karpat, gdy w rzeczywistości szła, począwszy od ujścia Odry do Bałtyku wzdłuż Odry, aż do morza, stąd skręcała bardziej na zachód i biegła wzdłuż granicy Łużycko — Śląskiej. Już w r. 1002 odzyskuje Chrobry Mądry Suroczy. Tablica 7 podaje najdawniejsze rozmięszenie plemion w Europie. Granice siedziby Germanów, według encyklopedii, obejmują półwysp Hel oraz dochodzą do ujścia Wisły i obejmują część ziem Pomorza, Sutyków i Obotrytów. Autorzy encyklopedii zapomnieli najwidoczniej, że Berlin i Prusy, to kraina słowiańskich mogił.

Ciekawsze jeszcze wiadomości posiada encyklopedia o Polsce współczesnej. Okazuje się bowiem (str. 1230 Polen), że w Polsce znajduje się aż 3,2 mil. Niemców. Encyklopedia podaje dalej, że na Śląsku mamy na ogólną liczbę ludności 1.298.000 50 proc. Niemców, na Pomorzu 25 proc., a w Białymstoku aż 9.747 (str. 1462, 1235, 147), podczas gdy w Gdańsku jest tylko 3 proc. Polaków, a 97 proc. rdzennych Niemców, nawet Daniel Chodowiecki, to niemiecki malarz (str. 230). Okazuje się więc jasno z encyklopedii, że w większości sami Polacy, to Niemcy.

Bzdury są tak grubo szyte, że mogą stanowić tylko bardzo nieudolną propagandę niemiecką. Swoją zaś drogą należy się dziwić naszej cenzurze, że takie bzdury wpuszcza do kraju.

K. W.

ROZBITKI



— Dzięki Bogu udało mi się wyratować szczerzątkę do zębów i pantofelki Pani.

Z Ameryki do Polski po zdrowie

W Warszawie, jak wiadomo, mieści się niezwykle laboratorium, gdzie demonstrowane są „ultrałagodne promienie Woytona zamiast noża chirurgicznego”, które podobno posiadają własność całkowitej regeneracji organizmu w kierunku normy: np. za krótka noga roztapia się normalnie, oczy krótkowidza i dalekowidza ulegają wprost odwrotnym przemianom i zawsze w kierunku normy.

Od początku maja r. b. gości u Woytona wysłannik fundacji Rockefellera i Du Pont'a, p. Artur Logan ze swą małżonką. Fundacja Al-

NAJKORZYSTNIEJSZE ŹRÓDŁO ZAKUPU

HERBATY KAWY I CACAO

Wł. palarnia kawy i import herbaty. Herbata od 16 zł. za kg do luksusowych gatunków. Kawa od 6 zł., Cacao od 4 zł. Na prowincję wysyłamy za zaliczeniem.

Dla pensjonatów rabat i odpowiednia polityka kredyt.

TEOFIL MARZEC

Marszałkowska 89, Mazowiecka 5.

freda Du Pont'a przeznaczyła 40 milionów dolarów na założenie nowego szpitala dla dzieci upośledzonych i w związku z tym zainteresowała się wynalazkiem Polaka.

Wynalazek Woytona znajduje się obecnie na 37-ej olimpiadzie wynalazków w Paryżu.

Nowy numer „Tęczy”

Już znajduje się w sprzedaży nowy, czerwony numer „Tęczy”. Bogato ilustrowany zeszyt ten wyróżnia się zarówno doborem świetnych piór jak i omawianymi tematami. Otwiera go art. A. Nowaczyńskiego, w którym świetny felietonista rzuci ciekawe uwagi w związku z wielką ceną pielgrzymki do Rzymu. K. Górski omawia sprawę austriacką, kreśląc społeczne tło przewrotu, a dr J. Młodziejowski sprawę Spisza, sprawę wymagającą rychnego załatwienia. W dziale literatury i sztuki K. Troczyński omawia twórczość Kuncewiczowej, W. Hofman podaje ciekawe anegdoty o Matejce i Chełmońskim, J. Wiktor drukuje piękny rozdział z niewydanej dotąd powieści „Skrzydlaty mnich”.

Kawiarniane odczyty dr. Jodko-Narkiewicza



Zdaje mi się że pan ten pomylił czynności: miał bujać w stratosferze, a on — buja gości.

ARMIN O. HUBER

40)

LUDZIE I ŻYWOŁY

Powieść współczesna z Dzikiego Zachodu

Po otrzymaniu depeszy, w której Jack Begoy zapowiadał swój przyjazd, Soiden i Inz Kościesz poszli sprawować nocną straż w obozie. Sprawdzili nieobecność Wang-Lee w obozie. Jednocześnie uwagę ich zwrócił blask dalekiego ogniska.

Wreszcie ujrzał jak na dłoni całe obozowisko. Musiał przyznać, że miejsce było wybrane doskonale. Potok, wpadający dalej do fiordu, a przepływający prawie równoległe do rzeki przez tagodną dolinę, zataczał tu ostry łuk, pozostawiając w środku niewielką, wygodną przestrzeń, niewidoczną od fiordu i dobrze zamaskowaną od rzeki gęstymi zaroślami.

Kościesz znowu sięgnął po lornetkę. Ognisko było duże, płomienie buchały wysoko, odgradzając oślepiającą zasłoną siedzących ludzi.

Z początku Kościesz widział tylko cztery niewyraźne sylwetki. Wkrótce jedna się podniosła i wówczas rozpoznał w niej doktora Czingwha, a gdy oczy przyzwyczaiły się do silnego, katującego się nieustannie światła, rozróżnił trzy pozostałe. Byli to: Old Bill, Wang Lee i... Loni Jansen.

— O, psinkrew! — zaklął Kościesz.

Był bardzo zaskoczony i dotknięty. Przede wszystkim koniecznością dziewczyny w tym towarzystwie.

Zastanowił się mimo woli, dlaczego niecił się dotknięty w ogóle. Czy ta dziewczyna aż tak dalece go obchodziła?

Otrząsnął się, wzruszył ramionami, osądził, że jest beznadziejnie głupi i mrucnął:

— Głupia gęś...

Już po raz czwarty ją tak nazwał, z tą chyba różnicą, że dawniej wymawiał te słowa z pewną szczerością, a teraz brakowało im nawet oburzenia. Poprzedzał na stwierdzeniu, że po prostu zrobiło mu się przykro, iż odkrył wroga w dziewczynie, której nigdy nie posądzal o przewrotność i obłudę. Jeszcze zadał sobie pytanie, dlaczego miałby liczyć na jej przychylność, lecz pozostawił je bez odpowiedzi, w niejasnej obawie przed dalszymi rozważaniami, połączonymi z osobą Loni Jansen.

Bardzo chętnie podczołgałby się bliżej, ale tą umiejętnością odznaczała się tylko Indianie w starych powieściach dla podrastającej młodzieży — w normalnych warunkach, taka próba groziła zdemaskowaniem, a tego chciał uniknąć za wszelką cenę.

Załował ogromnie, że nie wziął lornetki Soidena, która była znacznie ostrzejsza i dawała lepsze powiększenie.

Widział, na przykład, jak doktor Czingwha coś wręczył kucharzowi Wang Lee, lecz nie mógł określić, co to było. Potem wszyscy czworo pochylili się nad arkuszem papieru, podobnym do mapy, jednak z równym powodzeniem mogłoby to być plan lub dziennik.

Nie słyszał nawet odgłosów rozmowy: ciągle krzyczały sowy i pułhacz, zagłuszając wszystkie inne dźwięki; wtórował im z pobliskiego stawu tak zwany loon — ptak z rodziny nurków — zawadzący żałośnie, jak dusza grzesznika, skazana na wieczną wędrówkę pokutniczą.

W każdym razie Kościesz dowiedział się, kim był trzeci osobnik w motorówce Old Billa — niewątpliwie doktor Czingwha. Co go łączyło ze starym dziwkami i jakie zamiary obaj mieli, to pozostawało, oczywiście, niezgłębioną tajemnicą.

Na północy — zachodzie błysnęło raz, drugi — łuna dalekiej błyskawicy, rozświetliła nieco mrok, otaczający przestrzeń, opasaną łukiem potoku. Głuchy warkot grzmotu zamart. rozlewając się szeroką falą. Górą przeleciał wiatr, za-

trzeszczały wierzchołki olbrzymich drzew i znów ścisnęło. Po kilku minutach błyskawica przecięła niebo, rozległ się krótki, już znacznie bliższy grzmot.

Teraz spróbuję się do nich zbliżyć... — pomyślał Kościesz. Przeczekał parę minut i gdy znów zagrzmięło, posunął się o kilka kroków naprzód. Powtarzał wytrwale i cierpliwie te skoki, aż do obozu, pozostało wreszcie około pięćdziesięciu metrów.

Już mógł rozróżnić poszczególne głosy. Miał wrażenie, że doktor Czingwha i Old Bill o coś się spierali, lecz treść ich rozmowy była nadal nieuchwytna.

Wyjątkowo silny grzmot pozwolił Kościesz podczołgać się jeszcze bliżej, jednak i teraz dolatywały doń tylko pojedyncze słowa, z których nic nie rozumiał.

Spadły pierwsze ciężkie krople, zwiastujące ulewę. Cztery postacie wstały od ognia i schowały się pod rozłożyste drzewo, o gęsto splecionych konarach. Teraz byli w odległości zaledwie trzydziestu kroków od Kościesz.

— A czy tu będzie bezpiecznie? — usłyszał głos dziewczyny.

— Zupełnie — odpowiedział Old Bill. — Piorun nigdy nie uderzy w świerk. Tu będziemy...

Oślepiająca błyskawica przecięła czarne niebo, rozległ się ogłuszający grzmot, który potężne echo powłóczyło kilkakrotnie w skalistym wąwozie.

— Przejdźmy do mojego namiotu — zaproponował Old Bill.

W następnej chwili cała czwórka wyszła spod świerka i znikła za drzwiami. Old Bill jeszcze coś powiedział, ale Kościesz tego już nie dosłyszał.

Burza rozszalała na dobre: błyskało się raz po raz, ziemia dudniła od częstych grzmotów. Lunął deszcz i po paru minutach Kościesz przemókł do nitki.

D. c. n.